PION

CENA 50 GR.

ROK V NR. 40 (209)
WARSZAWA
7 PAŹDZIERNIKA
1937 ROKU

TYGODNIK LITERACKO - SPOŁECZNY

TREŚĆ

MARIA WINOWSKA

„WOJNA ŚWIĘTA"

W przedostatnim numerze *Nouvelle Revue Française* znajduje się artykuł Maritaina, który na łamach katolickich i nie katolickich pism wywołał zawziętą dyskusję. Z właściwą sobie odwagą francuski pisarz poruszył zagadnienie bolesne i trudne, które prasa okrążała z pewnym zażenowaniem (po stronie katolików) lub bez kompetencji (po stronie t. zw. niewierzących). Chodzi o problem „świętej wojny", rozdmuchany do niebywałych rozmiarów przez hiszpańską zawieruchę. Jak zwykle, Maritain staje na stanowisku integralnie katolickim, nie cierpiącym kompromisu. Jak zwykle przeprowadza dystynkcje konieczne i ważne, w których to, co cesarskie, i to, co Boże, odnajduje właściwe sobie miejsce. Ponieważ jednak właśnie dziś o te dystynkcje tak trudno (mniejsza z tym, czy biję Żyda w imię Chrystusa czy „czerwonego" brata-Hiszpana), dla wielu gorzka jest prawda, którą głosi. Niemniej, i właśnie dlatego trzeba krzyczeć ją na dachach.

Pisano, że „narodowa wojna hiszpańska jest wojną świętą i to najświętszą w Historii" („La guerra espanola es guerra santa y la màs santa que registra la historia", P. Ignacio G. Menendez- Reigada, O. P. *La guerra nacional espanola ante la moral y el derecho*, Salamanca 1937). Szermowano terminem religijnej krucjaty. Z południowym ekstremizmem kanonizowano bez reszty sprawę białych, potępiano bez reszty sprawę czerwonych. Bóg był sojusznikiem pierwszych: drudzy widzieli w nim zaprzysiężonego wroga. Nie daremnie cytują hiszpańscy biskupi, w swym liście pasterskim, ten posępny epizod: jeden z milicjantów strzelał do tabernakulum, wołając: „Poddaj się czerwonym, poddaj się marksistom". W swojej mętnej, tępej, otumanionej głowie widział *tam* naprawdę sprzymierzeńca faszystów. Może, kiedyś, słyszał, jak falangiści ruszali do ataku z okrzykiem: „Niech żyje Chrystus Król"!

Cel nie uświęca środków. Z morza łez, ognia i krwi nie może się zrodzić idylla zgody i pokoju. I jakkolwiek prawdą jest, „że Bóg pisze prosto po liniach krzywych" i służy nawet złu, nie wolno posługiwać się świadomie złem dla osiągnięcia dobra. „Byłoby zdradą Chrystusa, zdradą dobra człowieczego, zdradą samej politycznej prawdy mówić „amen" na wykroczenia przeciw etyce i przeciw ewangelii". Zło pozostaje złem i na to nie ma żadnej rady. „Chrześcijańska społeczność odbuduje się środkami chrześcijańskimi, albo pójdzie w zupełną rozsypkę".

Głuchym ropieniem, który od lat nurtował Hiszpanię, była niesprawiedliwość społeczna. Kwestii mas pracujących, które nędza uczyniła żerowiskiem komunizmu, nie przetnie się mieczem. „Wielkiego zgorszenia", piętnowanego kilkakrotnie przez Piusa XI („iż katolicy XIX wieku stracili klasę robotniczą"), nie okupi prawo pięści. „Problem ten może być rozwiązany tylko z wielką energią i z wielką cierpliwością, z wielkim rozumem i z wielkim bólem, w atmosferze miłości". Przypuśćmy, że „źli" (czerwoni) ulegną „dobrym" (białym): czy tragedia Hiszpanii na tym się skończy? I choćby nawet jakaś wielka reforma społeczna zaspokoiła kiedyś słuszne roszczenia hiszpańskich mużików: kto im łzy powróci? Rany, zadane w tej walce bratobójczej, nie zabliźnią się rychło. Wojna jest zawsze złem, wielkim złem, zwłaszcza wojna bratobójcza. Może być „złem koniecznym", jak w obecnej, hiszpańskiej przygodzie: czynniki historyczne złożyły się na nią fatalnie. Ale stąd do jej uświęcenia, do przypisania jednej ze stron *całej* słuszności, drugiej *całej* winy — dystans daleki. „Wprowadzenie mitu wojny świętej w konflikty, które dziś nurtują Europę, byłoby klęską nie powetowaną".

Maritain rozprawia się z samym pojęciem „wojny świętej", które w formach cywilizacji t. zw. „sakralnej" mogło mieć pewien sens („jakkolwiek trudny do wytłumaczenia"). Były epoki, w których wojna, to narzędzie do gruntu „cesarskie" i doczesne, mogła poniekąd, w intencji serc a nawet w rozwoju historii, służyć celom duchowym. Tak ją pojmował islam, chrześcijańskie średniowiecze. Czy jednak i tu historia, ten Boży sąd nad światem, nie świadczy przeciw niej? Krucjaty, podejmowane dla świętej sprawy, zawiodły, nie osiągnęły celu.

Natomiast w takich formach cywilizacyjnych, jak nasze, w których to, co doczesne, i to, co duchowe, jest wyraźnie zróżnicowane, w których doczesność nie jest narzędziem dla porządku sakralnego, w cywilizacjach typu świeckiego samo pojęcie wojny świętej jest absurdem. Nawet wówczas, gdy wartości religijne wchodzą w grę, zwalczane przez jednych, bronione przez drugich, wojna nie staje się przez to świętą; przeciwnie, wplątane w świecki kompleks, wartości te „sekularyzują się" łatwo i mijają ze swym celem. „Wojna taka wystawia na bluźnierstwa to, co święte", doprowadza do paroksyzmu nienawiść religii, utożsamianej z partią, wciąganej w służbę polityki.

W porządku doczesnym użycie siły może, niekiedy, być czymś koniecznym. W pewnych, rzadkich wypadkach można uważać wojnę za słuszną. „Lecz jeśli ktoś sądzi, że zabijać musi, niechżeż to czyni w imię narodu albo ładu społecznego, — to i tak jest aż nadto okropne — nie w imię Chrystusa Króla, który nie jest wodzem wojennym, ale Królem łaski i miłości, ukrzyżowanym za wszystkich ludzi, którego królestwo nie jest z tego świata". „Gdyby królestwo moje było z tego świata, wżdy by się bili słudzy moi, żebym nie był wydan Żydom"... Gdy mieszkańcy pewnego miasta wzbraniali się przyjąć Jezusa „widząc to uczniowie jego, Jakub i Jan, rzekli: „Panie, chcesz, rzeczemy, aby ogień zstąpił z nieba i spalił je. A obróciwszy się sfukał je, mówiąc: Nie wiecie, czyjego ducha jesteście. Syn człowieczy nie przyszedł dusze tracić, ale zachowywać". (Jan XVIII, 36; Łuk. IX, 54 — 6).

„Strasznym świętokradztwem jest masakrowanie księży — choćby to byli „faszyści", — wszak są to słudzy Chrystusowi — z nienawiści do religii; ale jest także świętokradztwem — nie mniej strasznym — masakrowanie biednych — choćby to byli marksiści: wszak jest to lud Chrystusowy — w imię religii. Jest świętokradztwem oczywistym palenie kościołów i świętych wizerunków, czy to w ślepej pasji, czy też, jak w Barcelonie, z zimną metodą anarchistyczną i ze wściekłą systematycznością; i jest również świętokradztwem przybierać muzułmanów w obrazki i medale Serca Jezusowego, aby święcie mordowali synów chrześcijańskich[1] i wciągać Boga w służbę walki, w której przeciwnik jest uważany za niegodnego wszelkiego szacunku i wszelkiej litości. Świętokradztwem jest profanowanie świętych miejsc i Najświętszego Sakramentu, prześladowanie wszystkiego, co tylko poświęcone jest Bogu, gwałcenie i katowanie zakonnic, profanowanie i wystawianie na pośmiewisko grobów; i świętokradztwem jest rozstrzeliwanie setek ludzi z okazji obchodu uroczystości Wniebowzięcia lub niszczenie przy pomocy bomb rzucanych z samolotów, jak w Durango — *albowiem wojna święta nienawidzi zawzięciej od niewiernego wierzących, którzy jej nie służą* — kościołów i zapełniającego je ludu oraz księży, odprawiających mszę; lub, jak w Guernica, całego miasta wraz z kościołami i cyboriami, przy akompaniamencie karabinów maszynowych, zmiatających uciekającą ludność. Okrucieństwa czerwonych były przedmiotem niejednej relacji; liczba zbrodni i grabieży, zrodzonych czy to z histerii zbiorowej, czy to z indywidualnych gwałtów, przewyższa niewątpliwie wszystkie nasze wyobrażenia. Lecz oto zaczynają również napływać świadectwa o terorze białych i to, co już o nim wiemy, nasuwa myśl, że sięga on niezwykle wysokiego poziomu okrucieństwa i pogardy dla ludzkiego istnienia. Ale cóż! W imię świętej wojny pełni się on pod znakami i sztandarami religijnymi, krzyż Jezusa Chrystusa błyszczy jak symbol wojenny nad agonią rozstrzeliwanych; i ani serce człowiecze ani jego dzieje nie mogą tego znieść. Człowiek, który nie wierzy w Boga, może pomyśleć: w gruncie rzeczy, to tylko okup nowego porządku i jedna zbrodnia warta drugiej. Człowiek, który wierzy w Boga, wie, że nie może być większego bezładu: jest to tak, jak gdyby kości Chrystusowe, których siepacze na Golgocie nie śmieli tknąć, były łamane na krzyżu przez chrześcijan".

Maritain zaznacza słusznie, że tendencja do kanonizowania wojny tłumaczy się po części temperamentem hiszpańskim, skłonnym do ekstremizmów. W tym znaczeniu nie tylko biali prowadzą wojnę świętą, ale także czerwoni, broniący do upadłego swojej „świętej" sprawy. Mit wojny świętej zmącił w obu obozach umysły i serca. W oparach krwi już brat nie rozpoznaje brata, najistotniejsze węzły porwały się w strzępy, każda strona przypisuje sobie *całą* słuszność — drugiej: *całą* winę. W tym zaślepieniu generalnym nie pozostaje już nic, prócz jednego pragnienia: wyciąć w pień, zmieść z powierzchni ziemi wszystkich „złych": marksistów czy faszystów.

Czyżby wojna hiszpańska była smutnym prognostykiem charakteru przyszłych wojen? Christofer Dawson, którego cytuje Maritain, zauważył w niezmiernie ciekawym artykule w *The Colosseum* (marzec 1937), że konflikt międzynarodowy, który by wybuchł dziś, byłby nie tyle wojną kapitalistyczną, ile „walką wiar o posiadanie umysłów ludzkich". „Potęgi faszystowskie będą sądzić, że bronią chrześcijaństwa i kultury europejskiej przeciw ateistycznemu komunizmowi, podczas gdy państwa demokratyczne i socjalistyczne będą sądzić, że bronią sprawiedliwości i pokoju przeciw tyranii militarystycznej i kapitalistycznej". Stąd niebezpieczeństwo „międzynarodowej wojny domowej", które *Osservatore Romano* sy-

[1] Na uroczystym zebraniu, w Alkazarze w Sewilli, generał Franco mówił do Maurów, wracających z pielgrzymki do Mekki (*Diario Vasco*, 4. IV. 1937): „Hiszpania i Islam były zawsze ludami, które się najlepiej rozumiały" (Yo deseo que mediteis en estas palabras Espana y el Islam han sido siempre los pueblos que mejor se comprendieron"). Ale czy ta chęć porozumienia jest obustronna? W swojej ciekawej książce *La cruelle Espagne* bracia Tharaud przytaczają kantyleny maurytańskie, pełne woli odwetu: „Ofiarowali mi pieniądze, Dwadzieścia duros, karabin i proch, I nadzieję miast ograbionych. Odmówiłem pieniędzy, prochu i broni, Zaciągnąłem się dla miłości Bożej, Przepasałem tunikę ciasnym rzemieniem. Rzuciłem bochen chleba w kapuzę burnusu, Powiedziałem: „Otom jest. Chwalili mój ród wojowniczy. Lecz pochwała ich na cóż mi się zda? Walczę za radość zemsty od dawna wyglądanej, Chcę widzieć ich ziemię, jak ongi naszą, Okrytą ścierwem i zgliszczami, Chcę widzieć ich grody w płomieniach, Ich córy w ręku naszych żołdaków".

gnalizował przed kilku miesiącami. W tej fazie historii partnerzy walki będą przede wszystkim „idealistami i propagatorami“ i „zasady światopoglądowe odgrywać będą rolę równie istotną, jak gazy trujące“.

W obecnych warunkach mit wojny świętej jest podwójnym niebezpieczeństwem: *dla religii*, którą wciąga w służbę cezara i zamienia na narzędzie partykularne, prowadząc do tego, co Maritain nazywa „*islamizacją*“ sumień, i dla *porządku doczesnego*, któremu zagraża tym straszliwiej, że rozporządza wybitną dynamiką ideową, żerującą na religijnych dyspozycjach duszy ludzkiej. Wiedzą o tym dyktatorzy współcześni i nie wahają się eksploatować dla swoich celów owej *idée force:* hiszpański requete inaczej idzie na śmierć w przeświadczeniu, że tylko wytępienie czerwonych uratuje sprawę Boga i Hiszpanii (nb. dzięki temu właśnie przeświadczeniu może być bohaterem i męczennikiem), niż gdyby bronił, po prostu, jak dawni karliści, idei monarchizmu. Polityczne tło konfliktu objawia się dopiero w całej grozie tam, gdzie po przeciwnej stronie frontu stają również katolicy, walczący w imię tegoż samego Boga. W czasie przerastających wszelką ohydę walk na gruncie baskijskim szeregi ruszały do ataku po jednej stronie z okrzykiem: *Jaungoikua eta lege zarra!* (po baskijsku: „Za Boga i nasze stare prawa!“), po drugiej: *Por Dios y por la tradicion!* („Za Boga i za tradycję“). Wycinano się w pień bez pardonu: wiarygodni świadkowie stwierdzają, że ani u czerwonych, ani u białych nie było więźniów i rannych. Na froncie Bilbao requeci szli do ataku pod przewodnictwem proboszcza z Lauzan, Don Monico, który w jednym ręku trzymał wielki krucyfiks, w drugim karabin i wołał: *Por san Miguel y por la religion!* Atakowanym był lud baskijski, najgłębiej religijny, do gruntu katolicki, namiętnie przywiązany do swojej ziemi, do swoich praw, który powstał zbrojnie przeciw białym dopiero wtedy, gdy wszystkie próby porozumienia, za cenę wymarzonej autonomii, spełzły na niczym. Przyjmijmy racje polityczne, które skłoniły białych do zgnębienia Basków: byłoby to prawo — czy bezprawie wojny. Ale podnoszenie sprawy do rangi „świętej krucjaty“, ale szermowanie Bogiem w walce przeciw braciom wyznającym tego samego Boga, ale palenie kościołów dlatego tylko, że nie są to kościoły „białych“, ale kościoły „czerwonych“, w których mszę odprawia nie „biały“ ale „czerwony“ ksiądz, świadczy o zupełnym zwyrodnieniu poczucia słuszności i musi napełnić oburzeniem każdego religijnego człowieka. Jeśli już chcecie wycinać się w pień, wasza to sprawa, nie wstrzymamy was siłą, ale na miłość Boską, nie angażujcie w walkę najświętszych wartości, nie kanonizujcie bestii; nazywajcie rzeczy po imieniu!

Z hiszpańskiego pożaru zarzewie może paść jak lont na inne, ideowe prochownie. Inne partie mogą powstać przeciw braciom „w imię Boga i ojczyzny“ z tym samym fanatyzmem, z tym samym poczuciem misji dziejowej, z tą samą, niszczycielską pasją. Mit wojny świętej jest jak zaraza w powietrzu. Niedość przed nim ostrzegać: trzeba go piętnować jak coś hańbiącego człowieka, jak wielką zdradę człowieczeństwa i wielką zdradę Boga. Już sama przez się wojna — zwłaszcza wojna domowa — jest wielkim złem, rozpętaniem bestii w człowieku, nawet najszlachetniejszym, ciosem w samo serce kultury. Niechżeż się jej przynajmniej nie kanonizuje!

Maritain podkreśla słusznie, że nie jest rzeczą cudzoziemców, najczęściej źle lub stronniczo informowanych, zabierać głos autorytatywny w sprawie hiszpańskiego konfliktu. Zwłaszcza katolicy winni by tu być z największą rezerwą. My wiemy, że bramy niebieskie nie przemogą Kościoła i że z tej siejby krwi powstać musi plon stokrotny, że na prześladowaniach katolicyzm zawsze zyskuje. „Kiedy jednak w obliczu dramatu, który rozgrywa się przed nami, jedni zapowiadają nam rozwiązanie „druzgocące“ na rzecz czerwonych, co równa się zagładzie co najmniej na przeciąg dwu generacji wszystkich instytucji religijnych w Hiszpanii i nastanie bojującego bezbożnictwa lub „walki z Kościołem“ („anti ecclesialisme“) o wiele cięższej i groźniejszej niż antyklerykalizm polityczny tak iż lud ochrzczony, lud świętej Teresy i Jana od Krzyża, byłby pozbawiony prawa poznawania prawdy Bożej i dzieło apostolstwa katolickiego musiałoby być podjęte od samych katakumb; i gdy drudzy zapowiadają nam rozwiązanie również „druzgocące“ w znaczeniu przeciwnym, które nie tylko narzucałoby religii, uznanej za środek rządzenia i „wcielonej“ w organizm polityczny, ciemiężycielską opiekę [2], lecz ponadto wydrążyłoby między nią i ludem przepaść żalu i goryczy, wysuszając wewnętrzne źródła jej żywotności, tak iż głębokie przyczyny duchowych ran, które jątrzą się dziś, nadal zatruwałyby historię, my nie możemy lekceważyć tych przeciwnych niebezpieczeństw. I czegoż powinniśmy pragnąć, jeśli nie tego, aby los oszczędził Hiszpanii obu nieszczęść“? Tu Maritain wskazuje na konieczność trzeciego rozwiązania, które by za wszelką cenę wyprzedziło katastrofę polityczną i położyło kres bratobójczej walce. Wszyscy ludzie dobrej woli, jakichkolwiek by byli skądinąd przekonań, jakiekolwiek by mieli sympatie, w imię samej cywilizacji i kultury winni współpracować wedle sił nad przywróceniem pokoju w Hiszpanii. Nie jest to dziś sprawa łatwa i prosta, ale trudność przedsięwzięcia nie uprawnia do dezercji. Trzeba wszelkimi środkami kształtować w tym duchu opinię międzynarodową, ponad namiętnościami partyjnymi prowadzić akcję pacyfikacyjną, sprowokować — może — jakąś interwencję, która by obudziła walczące obozy z oparów krwi i ze ślepej pasji zniszczenia („exterminacion!“: mot d'ordre białych i czerwonych) i „pozwoliła hiszpańskiemu narodowi swobodnie się wypowiedzieć w sprawie przyszłego ustroju“.

Apel Maritaina może dziś niejednemu wydać się czczą utopią: zbyt powikłały się sprawy, by można je rozplątać bez gordyjskiego cięcia. A jednak bywają wypadki, gdy trzeba bronić pozycji, na pozór straconych: „nieść *mimo wszystko* świadectwo ducha Chrystusowego“.

MARIA WINOWSKA

[2] Obok katolickich i rojalistycznych „requetes“ (dawnych karlistów) w skład wojsk narodowych wchodzą głównie Falangiści, którzy żywcem transponują na hiszpański grunt program skrajnego etatyzmu. Oto kilka zdań z ich programu: 3. „Pragniemy energicznie Imperium. 4. Oddamy wojsku na lądzie, na morzu i w powietrzu, przed całym narodem, wszystkie honory, na jakie zasługuje; na jego wzór militarystyczny duch przeniknie całe życie Hiszpanii. 23. Główną misją Państwa jest, przy pomocy surowej dyscypliny wychowawczej, stworzyć ducha narodowego mocnego i ujednionego, ugruntować w duszach przyszłych pokoleń radość i dumę patriotyczną. 25. *Ruch nasz wciela w siebie katolicyzm* — mający w Hiszpanii przeszłość chwalebną — *dla odbudowy narodowej.* Kościół i Państwo będą uzgadniać swoje wzajemne kompetencje, tak jednak, żeby nie było dopuszczone żadne naruszenie państwowych praw, żadna czynność mogąca dotknąć godności Państwa i całości narodowej“. Identyczne zasady były punktem wyjścia niemieckiego Kulturkampfu.

JÓZEF CZECHOWICZ

POEZJA KONSTANTEGO MIKIEWICZA

Słowo wstępne. W roku zeszłym zwróciła się do mnie rodzina zmarłego tragiczną śmiercią młodziutkiego poety Konstantego Mikiewicza, abym opracował do druku rękopisy wierszy pozostałych po nim. Podjąłem się tej pracy chętnie, bo poezje Mikiewicza już znałem z książeczki wydanej przezeń wespół z dwoma kolegami, Ostem i Mioduszewskim p. n. *Profile.* W tamtym debiucie on właśnie dał utwory poetycko najciekawsze, najbardziej samodzielne i najmocniej nasycone żywiołem poezji. Czytając te strofy czuło się: *Ecce poeta.*

Wiedziałem więc, że z poetą będę miał do czynienia. Nie przeczułem — że z poetą dużej miary.

Dziś, kiedy *Poezje* Mikiewicza ukazały się na półkach księgarskich, chciałbym opowiedzieć, jak żyłem z nimi, jak nad nimi pracowałem, co w nich ujrzałem.

O pracy nad wydaniem. Przeczytałem wszystko, co Rodzina poety dostarczyła mi w rękopisach i maszynopisach, starając się chwycić atmosferę tych wierszy. Układając tom do druku trzeba było przeprowadzić selekcję wśród utworów. Niektóre z nich, przeważnie najwcześniejsze chronologicznie, wykazywały pewną nieporadność wobec tworzywa poetyckiego, wzruszającą dla nas, artystów tejże sztuki, czytających między wierszami, ale może nieciekawą dla zwykłego czytelnika poezyj, który żąda rzeczy w ich możliwie najdoskonalszym kształcie — i słusznie.

Aby więc tom nabrał pełni wyrazu, zebrałem w nim kilkanaście najbardziej dojrzałych wierszy z ineditów oraz z owej książeczki pt. *Profile.*

Ustalanie tekstów było nie do przeprowadzenia wobec faktu, że rękopisów samego poety miałem bardzo niewiele, przeważnie były to maszynopisy robione już przez osoby trzecie. Opracowanie w tym kierunku musiało się ograniczyć do ingerencji wydawcy w dwóch czy trzech miejscach, gdzie błąd przepisywaczy był widoczny i godził w logikę artystyczną utworów.

W układzie kolejności wierszy kierowała mną tylko troska o rozmaitość formy i treści. Starałem się unikać stłoczenia utworów podobnych. Zdawało mi się też, że ten entuzjasta piękna, gdyby sam układał swój tom, zacząłby go od wiersza programowego pt. *Poezja.* Tak też i ja zrobiłem.

Zamknięto książeczkę szkicem, sylwetą autora.

O samych wierszach. Żyłem się z nimi, bo choć nie spełniające moich postulatów sztuki poetyckiej, choć zrodzone w ramach obcej mi techniki pisarskiej, przecież z nie byle jakiego źródła powstały: z fantazjotwórstwa. A staje się to prawdą coraz szerzej uznaną, że jedyną godną artysty sztuką jest ta która tworzy, nie ta która kopiuje i rejestruje.

Gdy ucisk tego, co popularnie nazywamy „nie-ja“ parł w wiekach średnich na człowieka z potworną mocą, duch jego dźwigał się do wyżyn niebywałych i z fantazjotwórstwa powstały katedry, witraże, kompozycje muzyczne i poematy wspanialsze niż kiedykolwiek. Dzisiejszy napór barbarzyństwa życia gromadnego stwarza podobne warunki. Tylko przytulna i forytująca, burżuazyjna demokracja rentierskiego typu mogła zrodzić naturalizm, realizm czy weryzm. Kiedy sprawy doczesne dają dosyt, artyści zdążają ku ich apoteozie, aby i koniec uwieńczył dzieło.

Lecz gdy w boju łamie się duch ludzki, przemawia przez nas jego wielki głos i słyszymy, czegośmy nie słyszeli, widzimy, czegośmy nie widzieli. Wiem, że to patetycznie brzmi, i wiem, że najłatwiej śmiać się z patosu, ale tak się śmieją tylko ci, których już nic więcej nie cieszy...

Ze świata stworzonego przez niego samego płyną wiersze Mikiewicza. Te, które mówią o sprawach społecznych (niewiele ich jest), świadczą tylko, że diagnoza jest słuszna, że chodziło o przezwyciężenie okropności warunków zastanych przy pomocy miecza sztuki. Przysięgłym marksistom podoba się w takich wypadkach mówić o „ucieczce od życia“. A przecież w tych poezjach młodzieńca dwudziestoletniego jest więcej zapachu życia niż w całej witalistycznej programowo produkcji skamandrytów. Że poeta jako ciężar zdarzeń odczuwał akurat pogrom socjalizmu austriackiego, nie zaś co innego, to przypadek, symbol niejako. Nie o to chodzi co go gnębiło, ale że w ogóle był gnębiony przez coś.

Jeszcze o wierszach w ogóle. Swoboda artysty jest warunkiem jego istnienia, jest zjawiskiem z fizjologii tego dziwnego gatunku ludzi, lubującego się w zasmarowywaniu płócien farbą, w zaplataniu rymów i asonansów oraz układającego dźwięki w korowód wzruszający tak czy inaczej.

Swoboda aż do dna, to było hasło twórcze Mikiewicza w życiu, ograniczone w poezji nieuchwytnymi imperatywami harmonii. Mało uświadomione a przecież ważkie zasady artystowskie porządkowały chaos barw i kształtów, składający się na wyobrażeniowy świat poety. A był to świat, w którym: „uśmiechnięta plotka wam niesie: paź poetów narodził się w trawie! Urzędowe krytyk marginesy zdobi w kwiaty i kółka pawie“.

Pogodny, ze słonecznego igrania powstały horyzont tych wierszy ukazuje rzeczywiste wyzwolenie. Akcenty rozbrajającego smutku, brzmiące tu i owdzie („Rzeka płynie na wznak nucąc: rzucisz się we mnie liściem strąconym, rzucisz...), podkreślają prawdę tego świata swobodnego, dodając mu głębi i perspektywy.

Te wiersze mieszają codzienność z feerią. Te wiersze ukazują igranie wyobraźni— tak lekkie i piękne jak igranie blasków na łusce fali.

Szereg cytatów: Str. 20. „Wsparty na szczudłach drabin, piosenny rzemieślnik ornamentem pogodnym młode cegły pieści... naroże muru piosnką starannie uprząta pod dnia nadchodzącego złoty nos trójkątny...“ Str. 25. „Komu powiewam nocy flagą? Jakiej złotopodniebnej żonie? Nikt nie patrzy w snu mego nagość, okno pustynią dzwoni...“. Str. 15. „Gibko nadzy, wilgotnie wysmukli, brzęczą w mięśni oliwną wypukłość. Klonią w rybi odwagi spokój winogrona dymiących loków...“. Str. 40. „Na błękitnych dziś chodzisz szczudłach i słońca kubłem sypiesz radosny rój wróbli w rozszum kwiatowych republik...“. Str. 10. Rzeka szepcze: „Oto ległam, wilgotne dziewczę. Póki czas, do dna mię wypieśćcie, o zachodzie po innej wodzie boso przy brzegu wam chodzić. Pociemnieją me wiry i koła w smutne, wielkie oczyska wołów...“. Str. 6. „Ni stąd ni zowąd dzwonią mi jakieś głowy przez okna owal, to koledzy wiszą na drzewie i wołają: Mikiewicz! Mikiewicz! Jak tyś sobie cichutko zwariował!...“. Str. 26. „Nie płacz! Krwi ci przywiozę ciepło białej trumny łodzią żaglową. Nożem od ziemi się odepchnę, srebrnym nożem będę wiosłować...“.

Cytowałbym więcej, całą książkę. Cała bowiem jest piękności pełna.

Sen na jawie. Pisząc kierował się Mikiewicz tylko dwiema troskami: aby wyobraźni wolnej nic nie spętało i aby jej tętent dał się uzewnętrznić, udostępnić czytelnikowi poezji pod kształtem spiętrzenia metafor, aliteracyj, zaśpiewów i innych tropów poetyckich. Niech zalew bogactwa uświadomi czytającemu bogactwo wnętrza tego, który śni na jawie.

Bowiem poezja wyobraźni to sen na jawie. Błogosławiony, kto umie łowić sny i obdarowywać nimi bliźnich.

Dlaczego. Dlaczego tak ważną sprawą jest ocena garstki wierszy młodziutkiego poety, który nie odegrał prawie żadnej roli w naszym życiu literackim? Dlaczego nie podobna pominąć milczeniem tych utworów, niekiedy niedociągniętych, a zawsze bardzo „młodych“ (powstały między 17 a 21 rokiem życia)? Dlaczego, dlaczego, dlaczego?

Dlatego, że poezja Mikiewicza to poezja sprzymierzeńca na wielkim froncie walki o nową sztukę. Mam nadzieję, że już i najtępsi zrozumieli nareszcie, że ta walka, to nie tylko bój o nowe „smaczki i chwyciki“, ale o rzeczy wielkie, o istotę sztuki i jej rację bytu. Wyobraźnia organizuje chaos poetycki. Wyobraźnia tworzy. Może stworzy także inny, lepszy świat jutra. Może stanie się dźwignią, która „ruszy z posad bryłę świata“ ku nowej młodości.

JÓZEF CZECHOWICZ

WINCENTY LUTOSŁAWSKI

DWIE SPOWIEDZI LITERACKIE

Firma wydawnicza Heinemann wydała prawie jednocześnie dwa bardzo ciekawe tomy autobiograficzne, z których wyrastają przed nami dwie postaci współczesnych angielskich pisarzy. Jeden z nich, Arnold Bennett, umarł w 1931 roku, osiągnąwszy za życia ogromne powodzenie, wyrażające się np. w tak nadzwyczajnych honorariach, że w pewnym wypadku dostał 2200 złotych (wówczas 50 funtów) za krótki artykuł objętości 50 wierszy (dokładnie 500 wyrazów). Miał swój jacht, dużo podróżował i obcował z wieloma sławnymi ludźmi.

Drugi pisarz, wcale nie mniejszego talentu — to Mikołaj Gubski, Rosjanin, piszący po angielsku. Choć wydał już sześć powieści, które pozyskały niemałe uznanie, walczy jeszcze z nędzą, żyje na przedmieściu londyńskim i w każdym swym dziele uskarża się na bezduszność i obojętność Anglików. Wszystkie jego powieści przedstawiały epizody z własnego życia autora, od którego dotąd nie mógł się oderwać. Teraz, mając lat 48, daje nam nadzwyczaj szczerą i interesującą opowieść całego przebiegu tego życia pod tytułem *Angry Dust (Zagniewany pył)*, przez co chce wyrazić dotychczasową swoją postawę: poczucie własnej niemocy, która go czyni jakby pyłkiem miotanym przez każdy powiew, i wewnętrzny protest przeciw krzywdom od życia doznanym, czyli gniew tego pyłka. Jest to namiętne oskarżenie życia i świata, a w szczególności życia emigranta z rodziną w obcym kraju wśród ludzi obojętnych, w warunkach dla niego wstrętnych.

Opowiada, jak ojciec jego, wysoki carski urzędnik w Petersburgu, wysłał go jako jedenastoletniego chłopca, samego, w 1900 roku do znajomych Niemców w Starogardzie, w Prusach. Tam przez kilkanaście miesięcy uczęszczał do niemieckiego gimnazjum. Opisuje swych kolegów i nauczycieli, nie bez złośliwości, a także daje obrazki prześladowania Polaków wśród uczniów i włościan. Nauczyciel łaciny bił okrutnie wszystkich prócz małego von Gubsky, który jako syn ekscelencji wzbudzał szczególne uszanowanie. Mieszkał w rodzinie urzędniczej i czasem odwiedzał przyjaciół ojca na wsi. Po kilkunastu miesiącach ojciec przyjechał po niego, przewiózł go do Petersburga i oddał do cesarskiego liceum, w którym od razu pozyskał stypendium, zapewniające całkowite utrzymanie. Wkrótce potem ojciec umarł i Mikołaj spędził w zamkniętym zakładzie całą młodość, odwiedzając z rzadka matkę i siostry w mieście. Był odosobniony i upośledzony, gdyż koledzy należeli do najbogatszych rodzin, w znacznej części utytułowanych, a on nie miał pieniędzy, bo emerytura po ojcu zaledwie wystarczała na utrzymanie matki i sióstr.

Był więc narażony na liczne upokorzenia, które wyrabiały w nim gorycz i już czyniły go tym pyłkiem, za jaki się podaje. Miał kolegę, Wasilkę, który go uczył pijaństwa, a potem nawet rozpusty. Na tej drodze szczęśliwie Mikołaj zatrzymał się, pod wpływem wewnętrznego przeżycia. Poczytywał je za cudowne wyleczenie z choroby, na skutek uczynionego ślubu, obiecującego poprawę.

Raz z rodziną wuja spędzał lato na Kaukazie i tam doznał wielkiego wrażenia, gdy po ciężkiej nocy z pijanym furmanem. który zabłądził, o świcie ujrzał szczyt góry Elbrus w pełnej okazałości. To wrażenie nagłego przejścia od rozpaczliwej sytuacji do cudownego zachwytu pozostało mu na całe życie.

W liceum miał kolegę Polaka, Stasia Chomińskiego, który zamęczał się pracą, żeby słabszym kolegom pomagać, i rozdawał im wszelkie pieniądze, jakie z domu dostawał. Wyższe kursy liceum dawały uniwersyteckie prawnicze wykształcenie, mające przygotować uczniów do zajmowania posad rządowych. W 1909 r. Mikołaj ukończył liceum i wstąpił do marynarki, lecz po roku wrócił do Petersburga i został urzędnikiem. Znowu znalazł się w obcym otoczeniu, obserwował je i maluje całą bezduszność biurokracji.

Poznał tam jednak zapalonego reformatora, Dremina, który chciał przeprowadzić reformę agrarną przez osadzenie włościan na indywidualnych działkach, zamiast periodycznego podziału roli gminnej. Pod wpływem Dremina Gubski zaczął dużo czytać, szczególniej odkąd w jego otoczeniu poznał dziwnego filozofa, Tawrowa, który wywarł duży wpływ na niego. Miał on rozległe wykształcenie i uważał za najistotniejszą treść życia osobiste stosunki, co Gubski w swoich powieściach później rozwinął. Daje obrazki pijaństwa wśród urzędników i opowiada, jak Kriwoszein dostał dymisję za to, że nie chciał przyjąć Rasputina.

Mikołaj pobierał wysokie wynagrodzenie — trzysta rubli, czyli półtora tysiąca złotych miesięcznie. Pomagał matce i siostrom, a nawet w czasie wakacji odbywał podróże. Zwiedził Egipt i Grecję. Potem uprawiał Jogę indyjską i zachwycał się Bagawadżitą. Miał liczne znajomości. Proponowano mu wyższe stanowisko sekretarza ministra, które odrzucił, mając wstręt do funkcji dyplomatycznych. Gdy wojna wybuchła, usiłował dostać się na front, ale zdyskwalifikowano go za jakąś wadę wzroku. Został sekretarzem w radzie wojennej. Wtedy poznał rodzinę Szan Girejów, których córka Nadia obudziła w nim trwałe uczucie. Mikołaj otrzymał przez wuja misję do Londynu, pobrali się z Nadią i opuścili Rosję na zawsze w październiku 1916 r.

Nadia, która była w Rosji zagrożona suchotami, wyzdrowiała. Ale wkrótce rosyjskie przedstawicielstwo ministerstwa wojny w Londynie zostało zwinięte. Jeszcze na krótki czas Mikołaj piastował urząd wicekonsula w Newcastle, ale i to po przewrocie bolszewickim upadło. Mikołaj przyjął stanowisko korespondenta zagranicznego w biurach jednej firmy sprzedającej węgiel, z wynagrodzeniem, które początkowo wynosiło 3 funty tygodniowo, potem 5 funtów, a po pięciu latach pracy 350 funtów rocznie. Dopiero po kilku latach takiej pracy bezdusznej, która go przygnębiała, zaczął pisać, najprzód traktat o charakterze Anglików i Rosjan, potem szereg nowelek i powieści. Pierwsza wyszła w 1930-ym r., druga w 1931-ym r., ale nie miały one większego powodzenia — rozeszły się w 800 egzemplarzach. Dopiero czwarta, pod tytułem *Its silly face (Jego głupia twarz)*, wydana w 1934-ym roku, zwróciła uwagę na autora i odtąd co roku jeden tom wydawał, a autobiografia wydana w lutym 1937-go r. miała drugie wydanie już w marcu tegoż roku. Dedykuje ją córce i synowi, urodzonym w Anglii w 1917-ym i 1922-im r. Ale o swych dzieciach wyznaje, że nie wpłynęły one na jego życie, i on też nie miał wpływu na nie, choć coraz to lepiej je rozumiał i lubił. Kończy swoją autobiografię zarysem postanowień na przyszłość, które się streszczają w jednym przykazaniu: „Bądź naprawdę sobą". To znaczy — wyzwól się od potęgi przyzwyczajenia i cudzych wpływów i osiągnij wewnętrzną zgodność z własną istotą, konsekwencję własnego działania. Hasłem staje się planowane życie wedle celu i uniezależnienie od nastrojów.

Tym nastrojom dużo miejsca poświęcił w opowieści swego życia, wykazując jak często czynił to, czego rzeczywiście nie chciał, szczególnie w stosunku do kobiet, które mu się podobały. Kończy słowami: „Ludzie, którzy byli mi bliscy, zawsze mi pozostaną w pamięci i nie będę ich mieszał z sobą. To za nimi widzę gromadę szarych ludzi, których znałem i którym służyłem, a za nimi las, wzgórza, pokryty śniegiem szczyt, a nad nimi błękit niebios i słońce, to samo słońce dla Wschodu i dla Zachodu, symbol jedności, którą człowiek, każdy człowiek, może odnaleźć w głębi własnej jaźni".

Widać tu jakby wyzwolenie z gniewu przez tyle lat wywoływanego przez niepowodzenia. Gubski wszedł na swoją właściwą drogę i — jeśli wytrwa — to przeciwności zwycięży. Oby wyjrzał poza ciaśniejsze granice osobistego doświadczenia i spojrzał bezstronnie na całość życia, wybierając w nim to, co warto podawać czytelnikom, o ile się potrzeby tych czytelników rozumie.

Przedziwny kontrast z tętniącą życiem opowieścią Gubskiego stanowi mimowolna autobiografia znakomitego pisarza, Arnolda Bennetta.

Mimowolna jest ta spowiedź, bo składa się z listów, które najoczywiściej nie były przeznaczone do publikacji. Pisywał je w ciągu ostatnich 15-u lat swego życia regularnie co tydzień do siostrzeńca swego i spadkobiercy, Ryszarda Bennetta. Ten w pięć lat po śmierci wuja, gdy spostrzegł, że inne jego pisma cieszą się w dalszym ciągu powodzeniem, wpadł na pomysł, żeby te listy rodzinne ogłosić drukiem (Arnold Bennett's *Letters to his nephew)*. Nie zawierają one żadnych wynurzeń ani refleksyj, nie zdradzają wewnętrznego życia; autor, gdy je zaczął pisać, miał już 50-y rok i był takim, jakim go życie ukształtowało. Nie trapiły go żadne wątpliwości ani skrupuły. Jedynym celem jego było pisanie dalszych powieści, scenariuszy filmowych i sztuk teatralnych — poza tym podróże na południe i bardzo ożywione życie towarzyskie.

Donosi siostrzeńcowi co tydzień, ile napisał, cieszy się, jeśli mu się udało napisać więcej, niż w poprzednim tygodniu, opisuje przyjęcia, w których uczestniczył w domach znanych i zamożnych ludzi, wspomina interesy pieniężne, nabywanie i sprzedaż akcyj, automobilów, dzieł sztuki.

Zważywszy, że choć tym co pisał nie przejmował się nadmiernie, umiał w najwyższym stopniu zaspokoić wymagania publiczności XX-go wieku i wiele dzieł jego pozostanie w literaturze, bo miał wrodzony talent — taka mimowolna autobiografia będzie interesować jego czytelników i pewnie zarówno wydawcy, jak i adresatowi listów nie mało przyniesie.

Ten fakt, że Bennett pisał swe listy do siostrzeńca z pedantyczną punktualnością co tydzień, nadaje im kinematograficzny charakter normalnego przekroju szczelnie wypełnionego pracą zarobkową życia angielskiego pisarza. Gubski na pewno nie chciałby prowadzić takiego życia, a jednak tylko taka pedantyczna jednostajność pracy może zapewnić powodzenie, na którego brak uskarżał się Gubski.

Bennett tak dalece wyzyskiwał wszelki materiał dla celów swego zawodu, że prócz powieści i sztuk teatralnych wydawał notatki robione z dnia na dzień w szeregu tomów pod tytułem: *Rzeczy, które mnie zajmowały, 1921, 1923, 1925* — lub *Journal 1929*. Notatki te dotyczą osób spotykanych, książek przeczytanych, a nawet obiadów zjedzonych. Corocznie sprzedawał przeszło sto tomów egzemplarzy recenzyjnych otrzymanych, o których pisał krótkie wzmianki. Z listów do siostrzeńca wynika, że ciągle był nagabywany o jakieś sprawozdania. Raz po raz ktoś chciał mu coś pokazać, aby o tym napisał swoim jasnym, rzeczowym, poczytnym stylem.

Wielki hotel Savoy dał mu gościnność, aby napisał powieść o życiu w wielkich hotelach. Powieść ta pod tytułem: *Imperial Palace* wyszła w 1930 r.

Przy ogromnych zarobkach Bennett dziwny nacisk kładzie na drobne oszczędności i chwali się, że zyskał 12 funtów, jadąc trzecią klasą do Kornwalii. Także siostrzeńca zachęca do oszczędności, a gani mu rzekome zbytki, gdy sam się przyznaje do znacznych wydatków.

Obcuje głównie z pisarzami i wydawcami, wśoród których pierwsze miejsce zajmuje Lord Beaverbroke, który go woził swoim jachtem do różnych dalekich krajów — do Rosji, Szwecji, Grecji, i przyjmował w różnych swoich pałacach.

Listy Bennetta do siostrzeńca dają tylko krótkie wzmianki o tych wizytach i wielkich przyjęciach u samego autora. Jest to życie szczelnie wypełnione pracą i obcowaniem ze znakomitymi ludźmi, o których zresztą mało się z nich dowiadujemy. Stanowi to krańcową antytezę z życiem Gubskiego. U Bennetta świat zewnętrzny przeważa zupełnie nad treścią wewnętrzną — może dlatego, że Bennett daje nam obraz swego życia po ukończonym 50-m roku, a Gubski opisuje pierwsze 48 lat swego życia. To, co Bennett z licznych wrażeń doznawanych wyciągał jako swe osobiste doświadczenie, wyrażało się w powieściach i sztukach teatralnych, do których bez ustanku przybywały nowe aż do śmierci w 64-m roku życia. Charakter tego życia jest nam z całą otwartością odsłonięty w poufnych listach nie pisanych dla publikacji. Jest to życie niezmiernie intensywnej pracy, mającej za cel przedstawienie zgodnie z prawdą życia innych ludzi w sposób dosyć interesujący.

Dla czytelników ostatnich powieści Bennetta jego listy stanowią komentarz dosyć pożądany, gdyż z nich dowiadujemy się, jak żyje autor należący do najpoczytniejszych w jednej z najbogatszych literatur świata.

Nastręcza się myśl, że ci dwaj ludzie: Gubski i Bennett, gdyby się spotkali, mogliby sobie wzajemnie znacznie dopomóc. Bennett przez swe stosunki ułatwiłby Gubskiemu korzystny zbyt literackiej produkcji, a Gubski ze swego bogatego doświadczenia dostarczyłby Bennettowi wiele oryginalnego materiału do dalszych powieści. Istotnie, mimowolna autobiografia Bennetta stanowi najciekawsze uzupełnienie ultraświadomej autobiografii Gubskiego.

Ci dwaj pisarze, tak różni, jednocześnie żyli w Londynie i łatwo mogli się spotkać, ale nie jest pewne, czy wzajemnie by się mogli zrozumieć i zawrzeć jeden z tych osobistych stosunków, o których zawsze marzy Mikołaj Gubski.

WINCENTY LUTOSŁAWSKI

NOWY TOM J. RUFFERA

Józef Ruffer przygotowuje do druku tom poezji własnych p. t. *Lutnista*, a nadto tom obejmujący wybór przekładów *Bajek* La Fontaine'a. Nad przekładem bajek La Fontaine'a zaczął pracować w r. 1923.

Poszczególne bajki ogłaszał począwszy od 1924 r. (*Kurier Warszawski, Tygodnik Ilustrowany, Iskry*).

O przekładach tych napisał prof. Leon Płoszewski w *Przeglądzie Warszawskim* (styczeń, 1925, str. 115): „Z innych arcydzieł „na warsztacie" tłumacza znajdują się też bajki La Fontaine'a. Próbki ogłoszone przez J. Ruffera (*Kurier Warszawski*, nry 195, 237) budzą nadzieję, że po przestarzałych przekładach i po genialnych parafrazach Mickiewicza otrzymamy na koniec dobre spolszczenie". Z *Lutnisty* wyjmujemy wiersz pt. *Hymn do Polski.*

HYMN DO POLSKI

Między tchnieniami Wschodu i Zachodu,
Ojczyzno moja,
Zasiadałaś szczęśliwa u Wolności Zdroja:
Macierz bujnego narodu.

Nad Twym pogodnym szczęściem kłębiły się burze,
Tysiączne huczały gromy!
A oto trwasz — trwa wiecznie Lud Twój: znak widomy
W narodów chórze...

Polsko!
Jakże wymówić godnie Twoje słodkie miano?...
Na jakim instrumencie
Wygrać hymn płomienisty, co by oddał święcie
Radość z Ciebie czerpaną!?...

Łąki, bory, rzek wstęgi, gaje, złociste łany,
Tatry: do niebios wrota!
Oto uśmiechów Twoich urok niewyczerpany,
Oczom promienna pieszczota...

Czyny z Ciebie zrodzone: męstwa owo zdrój żywy
I Duszom pokrzepienie!
Rośniem, rośniem i rośniem aż pod niebios sklepienie,
Patrzący na te dziwy!

Błędów pełni i waśni, plemię nieukrócone,
Bylim — jesteśmy — czyż będziem?!
Ty zasię macierzyńskim umacniasz nas orędziem,
Ku sobie przygarniasz zwaśnione.

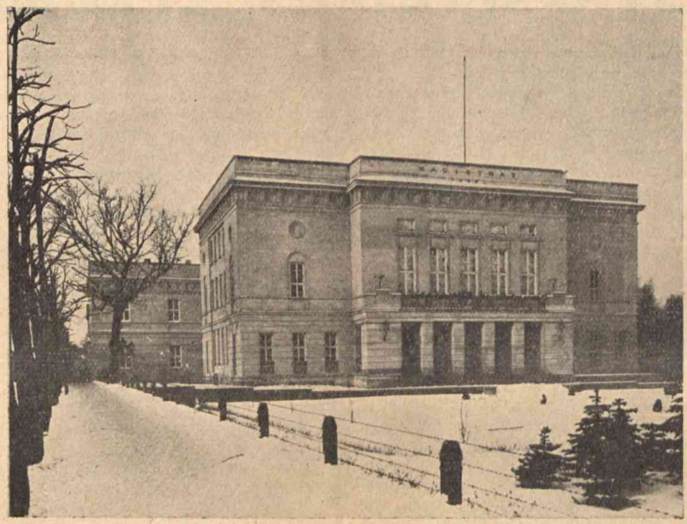
Jeśliże zwątpił który pomiędzy Twymi syny
Ojczyzno! — Ojczyzno!
Skażonego na duszy tą sromotną blizną
Nie karz — wedle winy...

Mocnaś i nieśmiertelna, w niewoli a skrzydlata!
Runą tyrany!
Oczyszczon i uświęcon, nurt Twój niepowstrzymany
Zatętni w Sercu Świata!

Polsko! Jakoż nam godnie głosić Twoje miano!?
Jakoż na dusz instrumencie
Wygrać hymn płomienisty, iżby oddał święcie
Radość z Ciebie czerpaną!?...

Paryż, rue St. Jacques, rok 1913.

PROWINCJA I KULTURA



RATUSZ W TOMASZOWIE, GDZIE MIEŚCI SIĘ TOW. PRZYJ. NAUKI, LITERATURY I SZTUKI

Przełom 1918 roku zmienił nie tylko polityczną i gospodarczą mapę naszego państwa, ale spowodował także zasadnicze przesunięcia na terytorium polskiej kultury. Traktowany nie jako osiągnięcie dziejowe, ale ze stanowiska „fizjologii" współczesnej kultury, stanowił punkt wyjścia procesów, które w wyniku doprowadziły do zmian nie zawsze korzystnych. Nieunikniona konsekwencją centralizacji politycznej była centralizacja kulturalna, która spowodowała zatarcie różnic regionalnych, ujednostajnienie polskiego typu psychicznego. Gdyby ten proces rozwijał się nie zahamowany w ciągu dłuższego okresu, mógłby doprowadzić do zubożenia polskiej twórczości kulturalnej, do jej przedwczesnej sklerozy.

Reakcję przeciw przerostowi dążeń unifikacyjnych stanowi coraz bardziej popularny ruch regionalistyczny. Ale regionalizm, u którego podstawy tkwi raczej kwietystyczna w zasadzie myśl zachowania dorobku kulturalnego poszczególnych prowincji w formie niezmiennej, niż żywa twórczość kulturalna — sam przez się, nie wspomagany innymi procesami, nie zdoła się oprzeć naporowi fali unifikacyjnej. Wyłania się konieczność stworzenia w całym kraju jak największej ilości ośrodków ruchu kulturalnego, które by — z jednej strony — poczynaniom regionalnym nadały bardziej zorganizowaną formę, a z drugiej — stały się „stacjami przekaźnikowymi" strumienia energii kulturalnej, płynącego ze stolicy.

Na szczęście, prowincja nasza coraz usilniej zaczyna walczyć o swe prawa, o swe stanowisko we współczesnym życiu polskim. Niemal wyłączna dotychczas postawa, zawierająca w sobie emocjonalną — ujemną — ocenę życia kulturalnego prowincji, coraz bardziej ulega przezwyciężeniu. Ta negatywistyczna postawa uczuciowa mogła doprowadzić do obiektywnych przekształceń w układzie sił kulturalnych społeczeństwa. Czas już był wielki, aby ewakuację kultury z miast prowincjonalnych zastąpił proces odwrotny: tworzenie licznych „warsztatów" pracy kulturalnej. Nie mniej ważna od twórczości samorodnej jest sprawa zorganizowania aparatu przenoszącego dorobek kulturalny wielkich centrów do odbiorcy, nie mającego bezpośredniej z nimi łączności. W tej dziedzinie inteligencja miast prowincjonalnych może odegrać rolę najdonioślejszą.

Dzieje powstania coraz liczniejszych placówek pracy umysłowej świadczą dowodnie, że udział inteligencji w życiu ogólno-państwowym jest coraz bardziej świadomy, że jej pionierska rola w dziedzinie organizacji ruchu kulturalnego jest coraz lepiej rozumiana. Jest objawem pocieszającym, że w małych nawet miastach prowincjonalnych powstają ogniska skupiające ludzi, którzy doceniają rolę wartości intelektualnych i artystycznych we współczesnym życiu polskim i pragną je jak najszerzej udostępniać.

Doba obecna — czytamy we wstępie do sprawozdania z działalności Koła Miłośników Historii, Literatury i Sztuki w Białymstoku — doba organizowania i rozbudowy życia państwowego i społecznego — stawia przed inteligencją polską wielorakie i złożone zadania. Aby im sprostać, należy dążyć do wciągnięcia inteligentnego ogółu w orbitę współczesnych problemów i zagadnień, do rozbudzenia w społeczeństwie żywego aktywizmu intelektualnego. Inteligencja w ośrodkach prowincjonalnych, pozbawiona kontaktu z poważniejszymi instytucjami naukowymi, literackimi i artystycznymi — zasklepia się przeważnie w kręgu swoich zainteresowań zawodowych, zrywając stopniowo łączność z nurtem współczesnych zagadnień i idei. W warunkach naszego życia prowincjonalnego wszelka akcja, zmierzająca do ożywienia ruchu kulturalnego, a przez to do zaktywizowania działalności społeczeństwa na wszystkich polach — ma znaczenie poważne.

Z takich założeń powstało w końcu 1935 r. Towarzystwo Przyjaciół Nauki, Literatury i Sztuki w Tomaszowie Mazowieckim, mieście, stanowiącym — ze względu na swój przemysłowy charakter — grunt szczególnie oporny dla wszelkich poczynań kulturalnych. Zawiązane z inicjatywy prezydenta miasta, Antoniego Rączaszka, liczy obecnie ok. 100 członków. Działalnością swoją objęło wszystkie warstwy społeczne miasta — od inteligencji po bezrobotnych.

Akcja Towarzystwa łączy się najściślej z osobą jego inicjatora. Na jakiejkolwiek placówce znalazł się obecny prezydent miasta Tomaszowa, wszędzie rozwijał budzicielską działalność w kierunku ożywienia ruchu umysłowego i artystycznego oraz nadania mu form organizacyjnych. Tak było w Grodnie, tak było potem w Białymstoku, gdzie prezydent Rączaszek był przez kilka lat prezesem zainicjowanego przez siebie Koła Miłośników Historii, Literatury i Sztuki.

Towarzystwo Przyjaciół Nauki, Literatury i Sztuki w Tomaszowie mimo trudnych warunków pracy (brak własnego lokalu, brak fortepianu, co szczególnie paraliżuje akcję muzyczną) i skromnych podstaw finansowych rozwija żywą i owocną działalność kulturalną. Warto zrobić pobieżny choćby przegląd imprez zorganizowanych przez Towarzystwo, gdyż to najlepiej zorientuje w charakterze jego pracy. Inaugurację działalności Towarzystwa stanowił odczyt Leona Pomirowskiego o Stefanie Żeromskim, tym nie tylko najświetniejszym polskim prozaiku, ale i niestrudzonym bojowniku o jak najwyższy poziom życia polskiego. W zakresie imprez poświęconych literaturze odbył się jeszcze odczyt Antoniego Rączaszka o Eugeniuszu Małaczewskim, ilustrowany recytacją niedrukowanych przekładów autora *Konia na wzgórzu*, oraz Kazimierza Czachowskiego o Henryku Sienkiewiczu. Poza tym dwa wieczory autorskie: Kazimierza Wierzyńskiego i Michała Choromańskiego. Z okazji wystawy plastycznej miejscowych artystów M. Siemiradzki wygłosił odczyt pt. *Malarstwo polskie na tle malarstwa współczesnego*. Dochód z wystawy oraz ze sprzedaży obrazów, w sumie ok. 500 zł., został przekazany na F. O. N. W zakresie zagadnień aktualnych Eugeniusz Kwiatkowski, konsul polski w Charbinie, mówił o stosunkach na Dalekim Wschodzie i o nowo powstałym państwie Mandżukuo, a prof. Sergiusz Hessen o faszyzmie, komunizmie i gospodarce planowej oraz o ekonomicznych i prawnych założeniach gospodarki planowej.

W zakresie działalności muzycznej Towarzystwo zorganizowało kilka koncertów z udziałem Ireny Faryaszewskiej, Wacława Kochańskiego, prof. Lewieckiego, Wandy Łozińskiej, Anieli Szlemińskiej, Henryka Sztompki i in. Pragnąc w jak najszerszej mierze wykorzystać przyjazdy artystów, Towarzystwo wystąpiło z inicjatywą organizowania poranków dla młodzieży szkół średnich i powszechnych. Programy tych audycji szkolnych były opracowywane przez Ormuz.

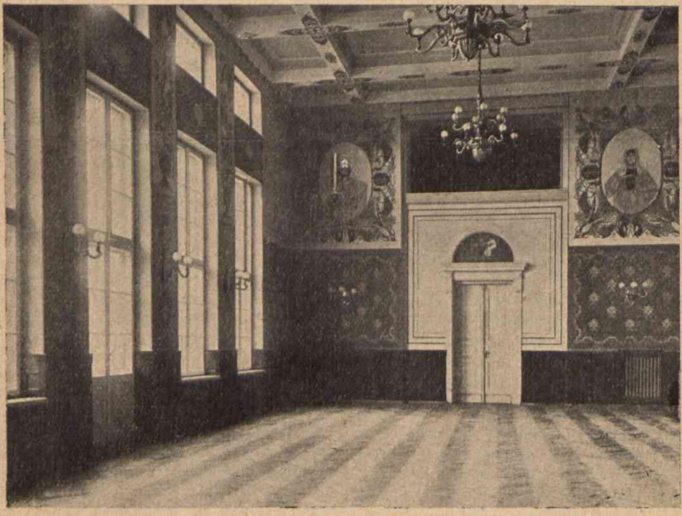
W trosce o objęcie akcją kulturalno-artystyczną jak najszerszych kręgów społeczeństwa miejscowego oraz w celu skoordynowania rozproszonych poczynań innych organizacji — Towarzystwo po kilku zaledwie miesiącach swego istnienia wystąpiło z inicjatywą stworzenia stałej komisji porozumiewawczej, która by wspólnymi siłami podjęła szerszą akcję w dziedzinie pracy nad krzewieniem kultury, oświaty i sztuki. Tak powstała w kwietniu 1936 r. Międzystowarzyszeniowa Komisja Artystyczna, w której współdziała 17 organizacji i zespołów miejscowych. Celem tej Komisji (która zorganizowała się jako sekcja Towarzystwa Przyjaciół Nauki, Literatury i Sztuki) jest organizowanie dla najszerszych sfer odczytów, przedstawień teatralnych i wieczorów artystycznych po cenach popularnych, oraz praca nad podniesieniem artystycznego poziomu zespołów wokalno-muzycznych przez kursy fachowe, poradnictwo i inną pomoc. Komisja nawiązała kontakt z Instytutem Teatrów Ludowych w Warszawie w sprawie zorganizowania kursu teatralnego dla przewodników zespołów scenicznych poszczególnych organizacji oraz dla nauczycielstwa szkół powszechnych.

W najbliższych projektach prac Towarzystwa leży stworzenie czytelni książek i czasopism naukowych i artystycznych, których w Tomaszowie odczuwa się wielki brak. Stanie się to podnietą i stworzy lepsze warunki dla ożywienia ruchu umysłowego wśród miejscowego społeczeństwa. Możność stałego śledzenia przejawów życia umysłowego i artystycznego na szerokim świecie, a przede wszystkim w Polsce, dostęp do wartościowych dzieł wywoła niewątpliwie potrzebę dzielenia się wrażeniami nie tylko przygodnie, ale w formach zorganizowanych, jak odczyty, referaty czy też stałe wieczory dyskusyjne.

Tak się w pobieżnym zarysie przedstawia dotychczasowa działalność Towarzystwa. Na specjalne podkreślenie zasługuje, iż podstawę finansową jego akcji stanowią wpływy ze składek członkowskich oraz dochód ze sprzedaży biletów. Jedyna subwencja — wojewody Hauke-Nowaka w wysokości zł. 400 — została zużytkowana na akcję popularyzatorską głównie wśród bezrobotnych.

Znaczenie Towarzystwa nie da się zamknąć w suchym zestawieniu zorganizowanych imprez i w liczbie tych tysięcy ludzi, którzy z nich korzystali. Najważniejszą legitymacją jego wartości jest to, co trudno ująć w kolumny cyfr albo wyraźną formułę słowną: to zaszczepienie tomaszowskiemu społeczeństwu potrzeb kulturalnych, rozprowadzenie ich w arteriach miasta niby prądu ożywczej krwi po transfuzji. To walka o nowy styl życia polskiej prowincji i o życia tego kulturalny poziom. Niechaj Towarzystwo idzie dalej po tak dobrze rozpoczętej linii działalności. To piękne zadanie dla twórczej myśli i zorganizowanej woli. Bo — jak słusznie stwierdza zarząd we wstępie do wydanego niedawno sprawozdania z dotychczasowej działalności Towarzystwa — „im więcej takich placówek, świetniejszych czy skromniejszych, powstanie na ziemiach Rzeczypospolitej, tym bliższa stanie się realizacja procesu upowszechnienia kultury, wyrównania przepaści między nielicznymi wyspami życia umysłowego i artystycznego w wielkich miastach — a zaniedbaną do niedawna prowincją".

KAZIMIERZ GLINKOWSKI



SALA RADY MIEJSKIEJ W TOMASZOWIE, GDZIE ODBYWAJĄ SIĘ WIECZORY TOWARZYSTWA

Z ZAGRANICY

Znany pisarz sowiecki, Borys Pilniak, został aresztowany. Przyczyną tego jest podobno fakt udzielenia przezeń pomocy żonie Radka i wdowie po Tuchaczewskim. Władze sowieckie zatrzymały również Mirskiego, autora pracy p. t. *Życie Lenina* i doskonałej *Historii Literatury Rosyjskiej*.

W Berlinie fetowano uroczyście sprzedaż trzymilionowego z kolei egzemplarza *Mein Kampf*. Jest to podobno najbardziej rozpowszechniony ostatnio w Niemczech upominek dla nowożeńców.

W Monachium odbyła się niedawno *Wystawa Sztuki Zdegenerowanej*. W następstwie jej Goering wydał nakaz „oczyszczenia" kolekcji publicznych i prywatnych. Pierwszymi ofiarami „czystki" zostali: Chagall, Kokoschka, Picasso i Matisse.

We Włoszech wyszło rozporządzenie, ograniczające rozmiary dzienników krajowych do objętości sześciu stron. Przyczyną tego rozporządzenia jest obawa Włoch, aby nie zbrakło im celulozy na cele „Obrony narodowej".

W Mediolanie ukazała się interesująca książka znanego pisarza włoskiego Ugo Ojetti p. t. *Sessanta* (Sześćdziesiątka). Zbliżający się do 60-tego roku życia autor znanych essayów p. t. *Cose viste* (Rzeczy widziane) zawarł w niej szereg głębokich i dowcipnych maksym, reasumujących zdobytą przezeń w ciągu życia wiedzę o człowieku i świecie. Ugo Ojetti był przez szereg lat redaktorem *Corriere della Sera*. Z tych czasów prawdopodobnie datują się jego obserwacje nad dziennikarstwem i jego misją, zawarte w całym szeregu maksym, z których warto przytoczyć jedną: „Dziennikarz jest jedynym pisarzem, który — ujmując za pióro — nie myśli o nieśmiertelności. To wystarczy, aby dał się lubić".

Nakładem N. R. F. ukazać się ma wkrótce nowa powieść „samotnika z Manosque", Jeana Giono, p. t. *Batailles dans la montagne*. Będzie to siedemnasta z kolei książka tego stosunkowo jeszcze młodego pisarza.

W tym samym wydawnictwie ukazała się interesująca praca Alaina p. t. *Avec Balzac*. Autor jest entuzjastą Balzaca i twierdzi — podobnie jak w swojej innej pracy p. t. *Histoire de mes pensées* — że z lektury tego pisarza wynosi więcej „nauki", niż „czytając filozofów i polityków". Rzecz szczególna, że w upodobaniach Alaina Balzac stoi tuż obok Stendhala, mimo że metody pisarskie ich obu były sobie „wrogie". Alain usiłuje z powodzeniem stale analizować jednego z tych pisarzy przy pomocy drugiego, rzucając w ten sposób ciekawe światło na jeden z problemów powieści współczesnej.

KSIĄŻKI

STANISŁAW COLONNA-WALEWSKI: *Rdzawe blaski.* Warszawa 1937. Tow. Wyd. „Rój". Str. 300.

Opowieść ze wspomnień wojennych lat 1915—1921. Zapewne autentyczna, chociaż podana w formie częściowo zbeletryzowanej, częściowo być może dosłownie wziętej z doraźnie pisanego dziennika, z którego pochodzą też nadmierne dłużyzny w rozważaniach Krzysztofa Nałęcza o sprawach publicznych. Atmosfera jednak wojny na froncie austriackim przeciw Rosji została odtworzona z niepowszednim talentem literackim. Świetne są zwłaszcza opisy walk, z których np. cały ustęp w huraganowym ogniu na pozycji wypadnie zaliczyć do najbardziej wstrząsających i najpiękniejszych na ten temat utworów artystycznych. W ogóle autor pisze prozą ładnie wyrobioną i giętką. Bardzo zajmująco przedstawia duchowe i moralne przeżycia młodego oficera Polaka, w którym żywo jeszcze działają dawne polskie tradycje wojenne, co znalazło wyraz także w wątku konia wierzchowego Orlika, wątku dobrze odświeżonym, ale może nieco przeidealizowanym. Jest to zresztą znamiennym rysem bohatera opowieści a zarazem i stylu autora, że bystrość wręcz naturalistycznej obserwacji życia łączy z górnym polotem idealistycznym. Występuje to również w epizodzie romansowym z dwiema siostrami Gałczyńskimi. W tym śmiałym trio miłosnym mamy do czynienia z nagim erotyzmem, którego zmysłowość w przedstawieniu autora uległa poetyckiemu uduchowieniu, nie na tyle jednak, aby razić sentymentalizmem. Idylliczny charakter tego romansu posiada urok swoistego piękna. Także inne przygody wojenne lub miłosne Krzysztofa Nałęcza odznaczają się inteligencją i naturalnym wdziękiem. Debiutujący tą książką autor rozporządza wrodzonym talentem literackim, któremu brak jeszcze dostatecznej świadomości artystycznej. Należy jasno zdać sobie sprawę, że kompozycja powieściowa nie powinna być dowolnie rozpychanym workiem, lecz ma stanowić odpowiednio zorganizowaną i skupioną całość epicką. Kompozycja *Rdzawych blasków* jest zupełnie luźna, rozsadzana nadto przez zbyteczne wstawki o charakterze publicystycznym, zwłaszcza pod koniec książki. Rozważania Nałęcza są najoczywiściej racjonalne, ale przedstawione jednostronnie, więc tym samym nie pogłębione. Również moment przebudzenia się wiary w Nałęczu wypadł nazbyt prosto, aby stać się istotniej przekonywającym. Cały zresztą bagaż ideologiczny powieści, mimo pozory poważniejszego stosunku do życia i społeczeństwa, ma wygląd raczej powierzchowny. Książka to jednak zalecająca się szeregiem świetnych epizodów powieściowych, żywym tokiem opowiadania i ładną polszczyzną. W stylu swoim poniekąd romantyczna, ale owa romantyczność dodaje jej dużo niewymuszonego wdzięku i miło odpręża tragizm przeżyć wojennych.

KAZIMIERZ CZACHOWSKI

Prace Polskiego Towarzystwa dla Badań Europy Wschodniej i Bliskiego Wschodu pod red. dra Wacława Lednickiego, Nr XIV. — WACŁAW LEDNICKI: *Puszkin 1837—1937*. Kraków, 1937. Str. 63.

W estetycznie wydanej książeczce, która dobrze o czujności wyżej wymienionego Towarzystwa świadczy, odsłaniając nadto aspekt szczególny w stosunku Puszkina do Polski — jeden z najznakomitszych puszkinistów dzisiejszych przywołał ku jubileuszowej pamięci zarówno postać autora *Jeźdźca Miedzianego*, jak i tragizm jego zgonu. W syntetycznym uchwycie podaje Wacław Lednicki te rysy, które twarz poety określiły, a są to, używając powiedzenia Gogola: człowiek rosyjski w ostatecznym jego rozwoju, wszechstronność, zarówno w ogarnianiu wszelkich przejawów rosyjskiego ducha jak i w umiejętności unarodowiania obcych wzorów; zaleta prostoty naprawdę idealnej, z jaką do wzruszania ostateczny kształt artystyczny dochodzi.

Sięgając w głąb tych sformułowań, Lednicki usiłuje wybadać źródło, z którego treść puszkinowska się poczyna. Tu stwierdza trafnie, a pomaga mu zestawienie z Byronem i Mickiewiczem, od czego twórca *Połtawy* wyraźniejszego wyodrębnienia nabiera, że Puszkin posiadał niezmiernie żywotną, chłonną „duszę" i nic więcej. „Jedyną wielką i ważną rzeczą, o której wiedział, że jest jego nieodjętą własnością i nierozłączną właściwością — był jego dar poetycki. Nic powszechnie znaczącego nie mógł z s i e b i e wprowadziś do swej poezji. Poezja Puszkina jest p o e z j ą c z y s t ą, poezją otrzymującą swoją treść nie z zewnątrz, lecz ze siebie samej".

Powszechny w świecie kulturalnym obchód jubileuszu Puszkina daje Lednickiemu ponownego bodźca do rozważań n. t. „Puszkin a my". Czyni to bez niegodnego wielkich pasyj zażenowania, nie przeinaczając prawdy — raczej z nieulęknioną świadomością i składając „dowód myślenia w wielkim polskim stylu", którego arcypiękny nekrolog puszkinowski, pisany przez Mickiewicza w *Le Globe*, naucza. Tedy Lednicki stwierdza: autor „przeciwpolskiej trylogii" był bezwzględnym wrogiem Polaków, ale wrogiem, co najważniejsze, świadomym, programowym. Stał na stanowisku aż do dna przejrzanej rywalizacji historycznej obu narodów; z tej rozległej perspektywy patrząc, „zgrzybiały rodów prawnuk" daleki był od jakiejkolwiek doraźności i serwilizmu. „Akt ten — stwierdza Lednicki — wypływał konsekwentnie z nacjonalizmu Puszkina, z tego, jak poeta rozumiał rozwój i historię swej ojczyzny".

Rozmiary okolicznościowej publikacji nie zezwoliły na pełne wykorzystanie wszystkich wątków, dotyczących Puszkina; uczyni to pod tym samym tytułem *(Puszkin)* zapowiadany „zbiór prac obcych i polskich autorów", przygotowywany pod redakcją prezesa wspomnianego towarzystwa.

Omówiona książka spełnia jedynie rolę miłości, przywołującej „cień postaci". Aury uczuciowej przydają reprodukcje portretów i obrazów, przedstawiających owoczesne „osoby dramatu". W zakończeniu odnajdujemy pożyteczny wykaz, podający główne puszkiniana autorów polskich — opracowania i przekłady.

GRZEGORZ TIMOFIEJEW

LUCJAN ANDRÉ: *Czad.* Powieść. Powszechna Spółka Wydawnicza „Płomień". Warszawa 1937. Stron 324.

Czasy pierwszych lat naszej młodej państwowości to czasy zmienności nastrojów politycznych oraz zamętu gospodarczego. Pokusić się o powieściowe odtworzenie tamtych czasów, to zamiar bardzo ambitny. Trzeba bowiem, oprócz zwykłego wątku powieściowego, objąć szerokie tło przemian politycznych i gospodarczych. Spojrzenie perspektywiczne na czasy inflacji niełatwe jest w ramach utworu literackiego.

Dlatego też książkę Andrégo bierze się do ręki ze zrozumiałą rezerwą. Jak sobie autor dał radę w przerzuceniu wątku powieściowego na szerokie tło tych czasów?

Oto zakończyła się wojna roku 1920. Prace, związane z budowaniem podstaw ogólnej gospodarki, odbywały się w atmosferze zamętu, wśród której zrodził się specyficzny typ „działacza", czyhającego na uchybienia ogólnej gospodarki, by przy nadarzającej się okazji nabić sobie własne kieszenie.

Takich to ludzi prezentuje nam Lucjan André w swej powieści, zatytułowanej nader trafnie: *Czad.* Ukazuje w niej autor, jako postać centralną, takiego właśnie giełdziarza-spekulanta.

Zasadniczym jednak bohaterem książki jest nie któraś z osób, ale — inflacja. Zjawisko personifikuje się i urasta do apokaliptycznych niemal wymiarów. Wyraz tego mamy nie tylko w prowadzeniu narastającego toku powieści, ale i w języku prawie że felietonowym. Brak w nim jakichś czulszych akcentów. Wszystko jest przez autora dostrzegane zbyt na zimno: przez opar złowrogiego tlenku pieniądza. Dławią się tym oparem bohaterzy Andrégo aż do koszmaru.

*

ZOFIA CIESZKOWSKA (SARIUSZ): *Krzyk życia.* Szkic psychologiczny. Wydanie III, poprawione i rozszerzone, z fotografią autorki. Warszawa. Dom Książki Polskiej. Str. 166.

Ten szkic psychologiczny jest ciekawie pomyślaną i nieźle przeprowadzoną konstrukcyjnie powieścią w formie pamiętnika. Raptularz to zwięzły, może za bardzo oszczędny w słowa i podający w impresyjnych skrótach pewne ogólne odzwierciadlenie przeżyć kobiety, która odtrącając ponęty życia, sama wreszcie w sidła tych ponęt wpada.

Czołową postacią jest nauczycielka, kończąca studia w Genewie. Po powrocie do kraju jest „perłą rodziny". Mimo głębokich przeżyć i niebanalnych aspiracji, mimo znacznej dozy kultury i oczytania — jako człowiek długo zostaje poza nawiasem pełni życia. Wreszcie spotyka na swej drodze mężczyznę. Długo tłumione instynkty biorą odwet za zahamowanie. Karol, człowiek przeciętny, „lew salonowy" — obejściem swoim i... podejściem zawrócił głowę starzejącej się nauczycielce.

Perypetie tego romansu są dość śmiało i żywo odtworzone. Agresywność Karola staje się dynamitem w sercu Anny, starającej się przemóc, zwalczyć miłosną skłonność. Po dość różnorakich przebiegach tego uczucia, oddalaniach się i zbliżeniach Anna zostaje jego kochanką.

Cieszkowska z prawdziwą śmiałością ukazuje momenty windowania mężczyzny na piedestał ubóstwienia, aby zeń potem uczynić kompletną nicość ludzką.

Książka szczera, dobrze napisana. Chodzi w jej treści o problemat równouprawnienia moralno-obyczajowego i towarzyskiego męskiej i żeńskiej połowy rodzaju ludzkiego. Silny głos w obronie kobiety, którą cywilizacja i obyczajowość zepchnęła o szczebel niżej, a która ze swej strony jest owym ognikiem, ku jakiemu ślą mężczyźni tęskne spojrzenia.

Styl książki lekki i potoczysty. Czyta się ją łatwo. Wysłowienie nie jest barwne. Próżno szukalibyśmy uplastycznienia nastroju, sytuacji, rozmowy, opinii. Lecz kto wie, czy ta uderzająca bezpretensjonalność szaty słownej nie jest równocześnie szatą ściśle, wyjątkowo ściśle przylegającą do treści, naprawdę psychologicznej, sięgającej w intymne nerwy uczuciowej głębi?

Krzyk życia swoją prostotą i powagą tematu, prawdą ostatecznych wniosków, bezpretensjonalnością wysłowienia — trafia do czytelnika.

Zwłaszcza że kobiecość, sentymentalność, wahadłowość uczuciowa niewiasty, której zrazu obca zmysłowa miłość — nakreślone zostały istotnie przekonywująco, nawet z patosem.

WAWRZYNIEC CZEREŚNIEWSKI

L. PASYNKOW: *Amina — dziewczę gór.* Str. 284. Przekład z rosyjskiego K. Maliszewskiego. Wydawnictwo „Europa". Warszawa.

Powieść ta stawia sprawę gwałtownej zmiany stosunków społecznych w Rosji na płaszczyźnie konieczności dziejowej, jako wypadkową wielu skomplikowanych sił. Autor jednakże rewolucji nie ukazuje.

Pasynkow obrał drogę trudniejszą: na krótkim odcinku życia Aminy daje historię nawarstwiania się pragnień rewolucyjnych w poszczególnych jednostkach. Pragnienia zmian są przeciwwagą stanu istniejącego. Mieszkańcy wsi — wychowywani w strachu przed duchami i bogatymi, leczeni błotem, wszami i kałem bydlęcym — w świecie, gdzie słońce nie przedostaje się przez szpary okien i nie może wypalić zarazy.

Amina, dziewczę gór, urodziła się między nimi. Ale nie ona jest bohaterką powieści Pasynkowa. Nikt i wszyscy — cały świat inguski, ukazujący w chwili prostowania zmęczonych pleców twarz skrwawioną i błyszczącą od potu. Nie ludzie więc, a zagadnienie — teza, dla której postaci poszczególne są tylko pretekstem. Ale istnieje jeszcze coś, co specjalnie zadziwia u Pasynkowa — to zupełne wyeliminowanie własnej osoby z biegu opisywanych zdarzeń.

Wartość książki dla czytelnika polskiego znaczna: ma możność zabawić się w podróżnika i odkryć ziemię i ludzi nieznanych, nacechowanych surowym egzotyzmem.

GUSTAW MOTYKA

PISM PIŁSUDSKIEGO t. V

Tom ten[1], odpowiadający V tomowi *Pism — Mów — Rozkazów*, powiększony o kilkadziesiąt „pism" pominiętych tam z różnych względów i przyczyn, zawiera drukowane wypowiedzi Pierwszego Marszałka Polski w okresie sprawowania przez niego władzy Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza, a ściślej biorąc od 10 listopada 1918 r. do 14 grudnia 1922 r. Epoka ta, epoka tworzenia państwa polskiego na powojennych gruzach dawnych rozbiorowych dzielnic kraju wiąże się nierozerwalnie z życiem i działalnością Piłsudskiego. Zaabsorbowany pracą wojskowo-organizacyjną i administracyjno-państwową, Naczelnik Państwa nie miał czasu na prace literackie, odłożył je do chwili spokojniejszej. Prac więc tego rodzaju w tomie omawianym nie znajdziemy. Natomiast Piłsudski z racji swych stanowisk Naczelnego Wodza i Naczelnika Państwa, jak również jako jedyny istotny moralny przewodnik Polski, musiał w tym okresie wypowiedzieć szereg mów programowych i konwencjonalnych, udzielić wielu wywiadów pismom krajowym i zagranicznym, wydać ze swym podpisem niezliczoną ilość rozkazów i zarządzeń czy to natury wojskowej, czy też prawno-państwowej. Oczywiście nie wszystkie akta z podpisem Piłsudskiego były jego tworem, część ich przeważającą stanowią typowe wytwory administracji, pewna tylko część nosi na sobie piętno jego inicjatywy lub autorstwa, będąc czy to opracowaniem jego myśli, czy też jego projektem. Należało więc dokonać wyboru tych akt, znaleźć tego wyboru kryterium. Wydawcy *Pism*, a w pierwszym rzędzie dr Kazimierz Świtalski, który tom ten opracował i przygotował do druku, mieli przed sobą ciężkie zadanie: rozstrzygnąć, jakie wypowiedzi i rozkazy umieścić, jakie akta z podpisem Piłsudskiego włączyć do wydawnictwa. Rozstrzygnięcie poszło po linii najpraktyczniejszej i — mam wrażenie — możliwie najtrafniejszej. Przede wszystkim zgodnie z zasadniczym postulatem całego wydawnictwa umieszczono tylko te rzeczy, które już uprzednio były ogłoszone drukiem. Poza tym wyłączono rozkazy wojskowe, gdyż ta dziedzina nie dałaby się po prostu technicznie, nie mówiąc już o innych względach, wtłoczyć w ramy wydawnictwa. Zbiór rozkazów i zarządzeń wojskowych I Marszałka winien być wydany niezależnie od niniejszego wydawnictwa. Mowa tu oczywiście o zarządzeniach natury operacyjnej i organizacyjnej; rozkazy do wojska, zawierające treść ogólniejszą, zostały uwzględnione. Wyłączono ponadto wszystkie akta państwowe, które nie posiadały wyraźnego piętna inicjatywy Piłsudskiego, pozostawiono tylko takie, które w ten czy inny sposób wyraźnie były inspirowane przez Marszałka. W tomie tym ponadto znalazły się wszystkie drukowane mowy Piłsudskiego z tego okresu i jego wywiady. Nie wszystkie mowy Piłsudskiego — tyczy się to zwłaszcza wywiadów — odpowiadają bez zastrzeżeń istotnym wypowiedziom Marszałka, nieraz zdarzyć się mogły pewne odchylenia, spowodowane czy to przez przeoczenie stenografów, czy przeinaczenia dziennikarzy itp. Niesposób było skontrolować ich w tym wydawnictwie, poza tym nie leżało to w zamiarach wydawców, nie mających na celu tzw. krytycznego wydawnictwa *Pism*, gdyż na to jeszcze za wcześnie.

Dwie idee przewodnie narzucają się czytelnikowi V tomu *Pism Zbiorowych*. Jedna — to idea wojskowa Piłsudskiego, chęć i moc stworzenia polskiego wojska, tworzenia jego ducha i nadania mu potęgi, druga — dążność do przerobienia Polaka, do wyplenienia wad i narowów nabytych w okresie niewoli i urobienia typu wolnego obywatela Polaka. „Ludzkość — jest tak urządzona, że pod budowlę Wolności kładzie życie ludzkie i bierze krew ludzką, która jest najlepszym tej budowli spoidłem" — to zdanie Piłsudskiego odkrywa głęboką prawdę, może nawet przykrą, lecz takie jednak było i dotychczas jest nieubłagane prawo dziejowe. Głęboko tkwiło ono w duszy Marszałka, a stąd wypłynęła ta jego wszechobejmująca troska o wojsko, tak chlubnie zrealizowana w postaci potężnej armii polskiej, która bohatersko i ofiarnie odparła groźne ataki nieprzyjaciół, stała i obecnie stoi niewzruszenie na straży niepodległego bytu Rzeczypospolitej.

A drugą troską Marszałka było wytworzenie właściwego ducha narodu, przeoranie psychiki Polaka, stworzenie typu obywatela polskiego, który mimo przeszło stuletniej niewoli żyje w Niepodległej Polsce życiem XX stulecia.

„Chciałem po prostu przerzucić Polskę z osiemnastego do dwudziestego wieku. Należało przeskoczyć całe stulecie i to było przyczyną wielu trudności i kłopotów wszelkiego rodzaju..." Ciężkie to było zadanie, zdawać by się mogło że ponad siły, zadanie jednak przed którym mimo wielkich przeciwności nie ugiął się geniusz Marszałka: obudził się duch polskiego obywatela Niepodległego Państwa XX stulecia.

Tom V *Pism* zamyka przemówienie Piłsudskiego do Gabriela Narutowicza.

Omawiany tom z powodu mnogości i różnorodności zagadnień trudny był do opracowania. Należało wyjaśnić niemal każdy epizod, podać nastroje i stan Polski, by na tym tle uwypuklić wypowiedzi Marszałka. Dr Kazimierz Świtalski nie szczędził trudu, by należycie opracować niezbędne wyjaśnienia. Dzięki jego pracy wypowiedzi Piłsudskiego, zawarte w V tomie *Pism Zbiorowych*, mogą być właściwie zrozumiane przez najszersze rzesze czytelników.

EDMUND OPPMAN

[1] JÓZEF PIŁSUDSKI: *Pisma Zbiorowe*, t. V. Warszawa 1937. Instytut Józefa Piłsudskiego poświęcony badaniu najnowszej historii Polski.

DYSKUSJA PO OMACKU

Ścieranie się prądów ideowych jest konieczne w każdym żywotnym środowisku artystycznym. Poważne, bezinteresowne namysły nad sztuką, dyskusje rzeczowe, dokładne, operujące autentycznym, niezafałszowanym materiałem — mogą a nawet powinny wiele niezałatwionych kwestii wyjaśnić, rzecz dyskutowaną zanalizować i odpowiednio prześwietlić, zbliżając nas do owej upragnionej prawdy skonfrontowanej z wolą twórczą bieżącej epoki. W ten sposób zasadnicza myśl dyskursywna ukaże się tu na pierwszym planie — na uboczu zaś pozostaną wszelakie antagonizmy osobiste, wszelkie dygresje i ambicyjki „obozowe“; rzecz staje się przedystylowana, oczyszczona z nieistotnych naleciałości, ujawniających zbytnią subiektywność sądu, lub też subtelną gierkę na własny rachunek.

Lecz w sferze sztuki nie możemy się jakoś zdobyć na wyższe normy polemicznej taktyki. Siłę i ugruntowanie pozytywnego stanowiska zastępuje się dość często siłą i demagogią napaści, bez tego mądrego i głębokiego poczucia, że jedno i drugie zwalczające się stanowisko jest jednakowo konieczne i że obydwa są w równej mierze funkcją rozwoju. Kogoś na czymś przyłapać, komuś dowieść, że się w czymś pomylił, czegoś nie dopatrzył, o czymś zapomniał — daje dyskutantom pełne zadowolenie, jako namiastka merytorycznego rozstrzygnięcia sprawy. Ogromne kompleksy nieporozumień, wlokące się poprzez pokolenia i powstrzymujące rozwój świadomości plastycznej wśród ogółu, wśród artystów zaś setki wykolejeń i zmarnowanych egzystencyj, nieufność czynników miarodajnych do zawodowych zrzeszeń i ugrupowań artystycznych etc. — oto rezultaty tej nieszczerej i sobkowskiej polityki na odcinku sztuki, gdzie niestety oportunistyczne dążenie do podziału wpływów między przeciwnymi obozami zastępuje coraz częściej odważną, bezkompromisową obronę swego stanowiska ideowego i konsekwentne zwalczanie fałszów i zakłamań.

Ale człowiek zawsze skłonny jest do optymizmu. Kiedy dawałem do druku mój artykuł *Chardin bez obcych wpływów* (w 18-tym nrze *Pionu*) demaskujący iście jezuicką kazuistykę prof. Pruszkowskiego w recenzji z wystawy malarstwa francuskiego w Muzeum Narodowym — byłem niemal pewny, że praca ta nawet w naszych warunkach nie minie bez echa. Za wiele w niej było materiału palnego, za wiele śmiałych, obcesowych uderzeń w samo centrum zaściankowego logikulstwa „Bloku“. Mocno spóźnione echo było — ale jakie echo? W swym artykule polemicznym *Megalomańskie urojenia*, w nrze 17-ym *Myśli Polskiej*, jeden z bardziej interesujących krytyków wśród młodszej generacji, kol. Ciechomski — zawiódł niestety na całej linii. Spodziewałem się po nim czegoś lepszego, bardziej wybrednego i oryginalnego. Autor nie zadał sobie nawet trudu, by uratować bodaj pozory rzeczowej dyskusji, by przede wszystkim zbadać chociażby w ogólnym zarysie teren walki toczącej się bez przerwy na tym froncie przez 8 lat bez mała. Żąda on ode mnie sprecyzowania stanowiska ideowego przeciwnego obozu — tak, jakby tego nie było w omawianej w moim artykule recenzji prof. Pruszkowskiego, jak gdyby nie istniały liczne publikacje „Bloku“, jego przyjaciół i popleczników, drukowane w dziennikach i czasopismach warszawskich. Nie jest mu również obcy brzydki zwyczaj wyciągania zbyt pośpiesznych wniosków z cząstkowej, logicznie z całością nie związanej treści czyjegoś zdania i nicowanie cudzej myśli na własny benefis. A już prawdziwą kompromitację mego przeciwnika stanowi ta nie pozbawiona humoru okoliczność, że artykułu mego, o którego tezy namiętnie się spiera — do końca przeczytać nie raczył. Gdyby go bowiem uważniej przeglądnął, znalazłby niewątpliwie w jego treści gotową odpowiedź na wszystkie stawiane mi później zarzuty, na wszystkie pytajniki z zakresu mej kuchni ideologicznej, którą wspomniany autor zbyt pochopnie potępić usiłuje, rozpowszechniając lekkomyślnie fałszywy zgoła pogląd, że nie uznaję żadnych w sztuce naszej podniet poza wpływami sztuki francuskiej, i że pod tym tylko kątem oceniam dzieła polskich artystów i t. p. Nie wymagam od kol. Ciechomskiego, aby zapoznał się gruntownie z całokształtem mej 20-letniej działalności artystycznej, aby przestudiował moje książki i coś około tysiąca artykułów i essayów, rozsianych po różnych dziennikach i czasopismach krajowych i zagranicznych. Mam natomiast moralne prawo wymagać od niego bardziej sumiennego zapoznania się z treścią mej pracy, obranej przezeń jako przedmiot do dyskusji, gdzie cztery ostatnie ustępy, obejmujące okrągło 40 wierszy druku, stanowią niejako syntezę mych poglądów w tej dziedzinie, syntezę stworzoną na podstawie długoletnich namysłów nad sztuką a zgodną w swej zasadniczej treści z pojęciami elity artystycznej w Polsce.

W działalności naszych publicystów artystycznych trudno wyłapać długi i głęboki oddech. Wąskość założeń dyskursywnych i powierzchowność sądu — są tu najlepszymi przewodnikami wstecznych pojęć i zacofania w sztuce, gdzie stabilizacja i racjonalizacja poglądów w tej sferze może się dokonać jedynie w parze z wysokim poziomem myśli krytycznej i z rzetelnym kultem istotnych wartości, zdobytych przez ustępujące pokolenie i zasymilowanych następnie przez nowe, jako podstawa tradycji plastycznej w danym środowisku.

Ale dyskutując z sobą po omacku, nigdy tradycji tej nie stworzymy.

KONRAD WINKLER

LIST DO REDAKCJI

Szanowny Panie Redaktorze,

W nr. 16 *Kuźnicy* p. W. Szewczyk zarzucił Tow. „Rój“, iż osiągnęło nadmierny zysk z książki *Pamiętnik z okresu dojrzewania* — z moją szkodą, jako autora. W związku z tym pragnę zaznaczyć, że rachunki moje z „Rojem“ zostały przeprowadzone jak najściślej i w sposób zupełnie dla mnie zadowalający.

Łączę wyrazy wysokiego poważania

Witold Gombrowicz

28. IX. 1937.

KSIĄŻKI NADESŁANE

ADAM CIOMPA: *Notatnik literacki*. Kraków 1937. Wydano nakładem Komitetu Uczczenia śp. A. Ciompy w Krakowie, z subwencją Ministerstwa W. R. i O. P.

ALEKSANDER GROZA: *Zagadnienie elektryfikacji na Śląsku*. Katowice 1937. Wyd. Instytutu Śląskiego. Skład główny: Nasza Księgarnia — Warszawa.

Silesian Affairs edited by ROMAN LUTMAN. Katowice 1937. Publications of the Silesian Institute.

FRANCISZEK MACHALSKI: *Orientalizm Antoniego Langego*. Tarnopol 1937. Nakładem Podolskiego Tow. Przyj. Nauk. Prace Podolskiego Tow. Przyj. Nauk w Tarnopolu, nr 2.

ALEKSANDER NOLL: *Dniówka* — poezje. Warszawa 1937. Skład główny: Księgarnia Robotnicza — Warszawa.

ODPOWIEDZI

Godło „Podpłomyk“. — Obie nowele zostały zakwalifikowane do drugiego czytania.

P. Wanda S. — Prosimy o podanie godła, jakim została oznaczona nowela.

Godło „Krysta — 35“. — Nowela *Listu trzeciego nie było* — do zwrotu.

Godło „Roztoka“. — Nowela *Dług* — do zwrotu.

Godło „Pi“. — Nowela *Zboczeniec* — do zwrotu.

Godło „Wacyniak“. — Obie nowele do zwrotu.

Godło „Step“. — Nowela *Nieślubne dziecko* — do zwrotu.

Godło „W 707“. — Nowela *Marta, motyl i wiosna* — do zwrotu.

Godło „Hugh“. — Nowela *Pociąg z pociągu* — do zwrotu.

Godło „Kiks 14“. — Do zwrotu.

Godło „Malaga 9“. — Nowela *Siostra Czerwonego Krzyża* — do zwrotu.

Godło „Anima“. — Oba rękopisy, zgodnie z życzeniem, zostały zniszczone.

X. X., Kraków. — Artykuł nie będzie drukowany.

W sprawach konkursu udzielamy odpowiedzi tylko na łamach PIONU i tylko na zapytania listowne.

RYMY CZĘSTOCHOWSKIE

MITOLOGIA WARSZAWSKA

W kosmogonicznych jarach tragedia trwa cicha:
Skamander po raz wtóry powoli wysycha...

KARIERA LECHONIA

Chcę być *alter ego*
Pawła Valéry'ego!

PROF. CHWISTEK

Będąc wrogiem posągów, rzekł raz Leon Chwistek,
Że Goethe (tak jak Szekspir i Dante) był chłystek;
Sobie w *Pałacach Boga* sam wzniósł z tej przyczyny
Postument nie z marmuru, lecz ze stearyny.

EPITAPHIUM DLA RED. GRYDZEWSKIEGO — PROJEKT I

Dotąd by po redakcji hasał jak lajkonik,
Gdyby w swym tygodniku nie czytywał *Kronik*.

PROJEKT II, ESCHATOLOGICZNY

Miał jedno swoje fatum nasz Wielki Anonim:
Słonimski umarł przed nim, a Piasecki — po nim.

DZIKI WYBRYK

Pewnemu brukowcowi zdarzyła się gaffa:
Chciał posłać tam gdzie Jaffa — Leopolda Staffa.

NA „EXPRESS PORANNY“

Dla rodzimej kultury, gardząc niecnym zyskiem,
Drukuje Lwa Tołstoja pod cudzym nazwiskiem.
Dobrać pseudonimy — oto trudność główna:
Mann zwie się tu Migowa, Kipling — Beylinówna.

PRENUMERATOR „EPOKI“

Przeczytawszy raz numer, nie mógł zmrużyć oka,
Rzekł więc jak historiozof: „Straszna to *Epoka*“.

KONSERWATYŚCI NIEZADOWOLENI Z „CZASU“

Radzą konserwatyści, pełni ambarasu:
„Jak robić politykę, gdy się nie ma *Czasu?*“.

„CZARNO NA BIAŁEM“

Jeżeli nie ustaną wysiłki wytrwałe
Władz — w piśmie tym zostanie wkrótce tylko *białe*.

NA „WIADOMOŚCI LITERACKIE“

Żeby mogła z nich kiedyś być dobra lektura —
Niech zostanie dział jeden: *Camera obscura*.

MISTRZ PADEREWSKI

Wszyscy go namawiają, wszyscy tego chcą:
Niech Mistrz znów politykiem wpływowym się stanie!
Polityka, co prawda, bywa także grą —
Lecz niech lepiej Mistrz nadal gra *na fortepianie*...

KSIĄŻĘ I MINISTER

W losy dwóch Poniatowskich wmyśliłem się szczerze —
Konkluzję z ust mi wyjął pewien Plutarch młody,
Więc powtarzam ją: „*Książę* utonął w Elsterze,
Ministra chcą utopić w łyżce brudnej wody“.

„POLITYKA“

Klika klice klikę z kliki...
Oto jądro *Polityki*.

NA „ABC“

O żółtych łat tradycję modły wznosi stałe,
Na żydowskie chałaty co dzień robi zamach.
Czasem łaty znajduje — nie żółte, lecz białe,
I nie na plecach Żydów, lecz na własnych łamach.

CAT I „SŁOWO“

Cat polskiej współczesności nie widzi różowo,
Więc *Sturm und Drang* prowadzi, pełen jest uporu.
Czy nie szafuje zbytnio, wciąż wy-dając *Słowo?*
Wszak mógłby dać raz jeden, lecz — *słowo honoru*.

HEMAR I SZEKSPIR

Każdy teatr, jak może, o sukces się stara:
Chcą wkrótce grać Szekspira w przeróbce Hemara;
Gdyby ktoś umiał wskrzeszać sztuczkami fakira —
Dawaliby Hemara w przeróbce Szekspira.

REPERTUAR TEATRU ATENEUM

Jaracz, widząc, że teatr — to płocha żonglerka,
Nie zaś niesienie sztuki robotniczym masom —
Z gniewu dostał aż zeza: dziś sam okiem zerka
Lewym — w stronę widowni, a prawym — ku kasom.

MALICKA I SAWAN

Żona — zdolna, urocza — występuje wciąż,
Wdziękiem serca zniewala i z wirtuozerią
Stawia wszystkie swe role. — A co robi mąż?
Kładzie sztukę po sztuce kiepską reżyserią.

SKARGA GOJAWICZYŃSKIEJ

Nowe sztuki — w szufladach, więc teatry drzemią;
Współczesne można tylko wystawiać... pod ziemią.

O NOJIM

Na olimpijskich bieżniach, pośród ludzi setek
Wsławia Polskę nogami, bez udziału głowy.
Czy warto mu w nagrodę dać wieniec laurowy?
Wystarcza chyba... para zielonych skarpetek.

NA PRZYJAZD KIEPURY

Gdy znów przyjechał śpiewać na rzecz LOPPu, FONu —
Niech mu kto wskaże hotel, gdzie nie ma... balkonu.

COH-I-NOOR

Redakcja: Warszawa, Chmielna 33, telefon 3.04.09; czynna codziennie (w dni powszednie) od godziny 13 — 15. Rękopisów nadesłanych nie zwraca się.
Administracja: Warszawa, Chmielna 33, tel. 3.04.09; czynna codziennie od godziny 12 do 14. Prenumerata w kraju: mies. 1.80 zł., kwart. 5 zł., rocznie 18 zł., za granicą: mies. 2.50 zł., kwart. 7 zł. Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty — 60 gr. za tekstem; 80 gr. w tekście. Konto P. K. O. Nr. 18.590.

ZA REDAKCJĘ: **Józef Czechowicz** WYDAWCA: **Tow. Wyd. „Droga“ Sp. z o. o.**

Drukarnia Współczesna. Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10.